

Starorzecze

Krzyżyk z mosiężnej blachy,
Maszyny do pisania,
Piesek Puk

W Warszawie za carskich czasów kandydat na majstra musiał wykonać w obecności komisji tak zwany majstersztyk. Egzaminowanie mogło trwać tydzień i dłużej. Odbywało się w warsztacie. Delikwent pracował, a komisja, jedząc i popijając na jego rachunek, pilnowała, by nikt mu nie pomógł, oraz przerzucała się docinkami pod jego adresem. Na noc warsztat starannie plombowano. Dziadek Antoni miał dyplom mistrzowski w dziedzinie blacharstwa i kotłów gorzelnicznych, a krzyżyk, który obecnie należy do mnie, był jego majstersztykiem, pracą dyplomową. Niewielki stojący blaszany krzyżyk, z zamkniętymi obło ramionami, u dołu lekko wywinęty na zewnątrz, pusty w środku.

Zagadka polega na tym, że nie widać jakiegokolwiek śladu łączenia, spawu. Najprawdopodobniej Dziadek wymodelował go z jednego kawałka blachy. Ale jak?

Pokazałem krzyżyk znajomemu metalurgowi, absolwentowi politechniki. Oglądał na wszystkie strony, przybliżał do lampy, obracał. Zniecierpliwiał się, odstał na półkę, zaczął mówić o czymś innym. Znowu sięgnął, obejrzał, odłożył.

Przyszędł po paru dniach.

– Ja do twojego krzyżyka.

Wyjął z teczki reflektorek, jakiego używają laryngolodzy, umocował sobie na czole, poświecił. Wsunął do wnętrza krzyżyka małe lusterko na trzonku. Patrzył przez silnie powiększające szkło.

– Hm.

Tyle się dowiedziałem.

Dziadek Antoni wcześniej owdowiał, sam wychowywał dzieci: Antka (mojego ojca) i Alę. Gdy skończyli studia, spełnił swoje marzenie: kupił działkę w Zielonce, zbudował domek. Ala była lekarką. Zginęła już po upadku powstania, na szosie pod Pruszkowem. Chciała pomóc jakiemuś rannemu, odruchowo wyszła z szeregu, wachman krzyknął i zdjął karabin z ramienia, nie zwrócił na to uwagi. Gdzieś za wczesnego Gomułki, miałem wtedy ze szesnaście lat, poszedłem do punktu skupu makulatury, magazynierka warknęła: – Nazwisko! Adres! – bo władza musiała mieć czarno na białym, jak się nazywa i gdzie mieszka obywatel, który przyniósł do sprzedania piętnaście i pół kilograma starych gazet. Odwarknąłem tym samym tonem: – Kroh! – i nagle magazynierka rozpromieniła się, zapytała serdecznie, czy może jestem krewnym pani doktor Alicji Kroh, która pracowała na Sadybie? I czy pani doktor żyje? Jeśli tak, proszę ją koniecznie pozdrowić, Hanna Woźniak jestem, z ulicy Obserwatorów, już pani doktor będzie wiedziała. Powiedziałem, że to moja ciotka, nie żyje. – O Jezu, ona też? Jak zmarła? – Zwyczajnie, Niemiec ją zastrzelił. Patrząc, a na kwiecie dziesięć kilo makulatury więcej, niż się należało.

Ojciec zginął w wypadku samochodowym w lipcu czterdziestego szóstego. Dziadek Felicjan i Mama pojechali do Zielonki zawiadomić Dziadka Antoniego. Dziadek Antoni tak się ucieszył z niespodziewanej wi-

zyty, taki był szczęśliwy, tak nie wiedział, jak ich uhonorować, że nie byli w stanie wykrztusić, co ich sprwadza. Posiedzieli, pogadali, wypili herbatę. Prosił, żeby wpadali częściej. Na drugi dzień wzięli się w garść i odwiedzili go raz jeszcze.

Dziadek Antoni miał braci i bratanków ustawionych w życiu, nie chcieli się z nim kolegować, więc po śmierci syna jedyną bliską mu osobą była synowa, czyli moja Mama. No i wnuki. Co sobotę przyjeżdżał do nas na Bielany, zostawał do niedzieli. Przywoził dzieciom cukier – w butelce po oranżadzie, takiej z porcelanowym kapslem; nie mógł kupować cukierków, bo samotnym emerytom kartki na cukierki nie przysługiwały. Trzymał u nas skrzypce, czasem grał i śpiewał *Rosła kalina z liściem szerokim* albo o więźniu, który miał w celu przyjaciela-pajęczka, to znów o kibitce pędzącej *w odległy szlak, a dzwonek tylko słychać z oddali jak pogrzebowy umarłych znak*. Czytał Czechowa, Turgieniewa, Gogoła, Lwa Tołstoja, Puszkina, mieliśmy to w domu. Mama kupowała rosyjską klasykę, która była wtedy w Polsce bajecznie tania, starannie wydany tom kosztował tyle co dwa przejazdy tramwajem albo mniej, podobno jakiś przywaciarz kupił większą ilość dzieł Stalina oprawnych w skórę, którą zużył na produkcję galanterii, a że nie znosił marnotrawstwa, zawiózł do składu makulatury kilkaset kilogramów odpadów poprodukcyjnych i dostał za to piętnaście lat. Tak plotkowali dorośli, myśląc, że skoro Antoś przykucnął w kącie i bawi się klockami, to nic go nie obchodzi i można swobodnie rozmawiać. W czerwcu osiemdziesiątego dziewiątego roku, wkrótce po wyborach, które komuniści tak pięknie przegrali, wyszły spóźnione o parę tygodni dzieła Lenina w białej delikatnej skórce, kaletnicy natychmiast wykupili cały nakład, radio cieszyło się tym przez kilka dni.

Babcia, dziadkowie znali rosyjski z czasów młodości. Babcia, gdy podliczała coś w pamięci, mamrotała po rosyjsku, dopiero wynik ogłaszała po polsku. Mama chodziła na kursy organizowane przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Nie musiała daleko chodzić, odbywały się u niej w biurze, w godzinach służbowych, przyjemnie było. Ciocia Jadzia mieszkała pod Nowym Sączem, była nauczycielką w szkole rolniczej, dyrektor kazał jej dodatkowo uczyć rosyjskiego. Zaskomlała, że rosyjskiego nie zna, na to dyrektor, że nie

przyjmuje takich dziecinnych wykrętów, przecież inni nauczyciele też nie znają, a program trzeba realizować. Nie bądźcie aspołeczna, koleżanko Lechnicka, wam o wiele łatwiej, bo znacie francuski i niemiecki i nie macie dzieci. Więc uczyła się sama, wieczorami. Co wkuła wieczorem, tego uczyła następnego dnia, wyprzedzała uczniów o jedną lekcję. Opowiadała o tym przy stole, gdy przyjechała na święta.

Mama zawołała: Skandal! Idiotyzm!

Dziadek Felicjan: Drogie dzieci, hm. Chłopi na Sądecczyźnie tak czy owak nie będą czerpać fachowej wiedzy z rosyjskich podręczników ani czytać Turgieniewa w oryginale. Więc na jedno wychodzi. Chociaż, prawdę powiedziawszy, też się nie zachwycam takim stawianiem sprawy.

Babcia: Biedna Jadziunia. Pomogłabym ci, gdybyś mieszkała bliżej...

Jadzia: Moja droga Zosiu, nie trzeba się obrażać na cały świat, trzeba brać ludzi takimi, jakimi są.

Mama: Właśnie biorę ludzi jakimi są, a nie moja wina, że są idioci.

Dziadek mruknął po francusku, żeby nie dawać dzieciom złego przykładu. Ale już było za późno.

Dorośli wkładali mi do głowy, żebym się pilnie uczył rosyjskiego, bo każdy Polak powinien znać język naszych śmiertelnych wrogów. Więc prosiłem Dziadka Antoniego, żeby mi czytał opowiadania o zwierzętach z syberyjskich lasów, autorstwa mojego śmiertelnego wroga Michaiła Priszwina. Bardzo go polubiłem i sporo mu zawdzięczam, a także Antoniego Czechowa, którym wtedy nasiąknęłam, a teraz wracam do niego, gdy mi smutno.

Wtedy był taki milicyjny przepis, że w każdym mieszkaniu musiał być zeszyt, do którego główny lokator miał obowiązek wpisywać każdy nocleg osoby niezameldowanej na stałe. Lp., nazwisko i imię, stopień pokrewieństwa, data przyjazdu, skąd przyjechał, data wyjazdu, dokąd wyjechał, uwagi. Ten zeszyt przyniósł nam dzielnicowy. Pouczył, że nocowanie osoby postronnej bez wpisania do zeszytu podlega karze (po latach widziałem w tarnowskim hotelu wywieszkę „Zabrania się wpuszczania do łóżka osób trzecich”). Mama twardo wpisywała: Antoni Kroh, teść, data, z Zielonki, data, do Zielonki, Antoni Kroh, teść, data, z Zielonki, data, do Zielonki i tak przez parę karetek, któregoś dnia powiedziała, że ją to nudzi, bo skoro milicja jej do tej pory nie zwinęła za nocowanie teścia, to bez łaski, więcej wpisywać nie będzie. To był jej ulubiony greps: gdy pracowała w Instytucie Geodezji i Kartografii, kiedyś z nudów powiedziała kierownikowi, że nie będzie się szczepić obowiązkowo przeciw gruźlicy, bo po co: tyle razy się szczepiła, a nie zachorowała. Ciasno jej było w Instytucie Geodezji i Kartografii. Razem z koleżanką, panią Kwiatkowską, która miała Krzyż Walecznych za powstanie, płatały rozmaite figle. Gdy kierownik niespodziewanie wszedł i pytał o coś, pani Kwiatkowska mówiła od niechcienia: pani Zofio, niech pani przełoży wtyczkę

w dolne gniazdko, bo tam jest lepszy prąd, woda się szybciej zagotuje. – Chyba nie – odpowiadała Mama po głębokim namyśle – bo ten dolny prąd ma dłuższą drogę do przebycia. – Może tak – myślała na głos pani Kwiatkowska – ale rozpedza się z góry, ma większy impet, w sumie prędzej grzeje, chociaż mu dalej. Pani Kwiatkowska i pani Kroh to były jedyne polonistki w Instytucie Geodezji i Kartografii. Kierownik zapomniał, z czym przyszedł, zegnał się skwapliwie, rozpie-rała go satysfakcja, gdyż dysponował kolejnym niezbitym dowodem wyższości inteligencji technicznej nad humanistyczną oraz umysłu męskiego nad kobiecym.

Gdy Dziadek Antoni któreś soboty nie przyjechał, zaniepokojona Mama pojechała do Zielonki. Usłyszała od sąsiadów, że pan Kroh zamknął się w mieszkaniu, nikogo nie wpuszcza i całymi godzinami głośno śpiewa po polsku i po rusku. Zawołała, poznał ją po głosie, otworzył, przeprosił za braki w garderobie. Wyjaśnił, że czuje się słabo, bo od paru dni nie jadł, ale po prostu nie jest głodny, a poza tym wiele już w życiu zjadł i powinien odpocząć. Powiedziała, że musi wyjść na chwilę, ma pilną sprawę do załatwienia. Pobiegła na pocztę, sprowadziła pogotowie. Przyjechała karetka, lekarz zdecydował: Drewnica. Nie powiedział „szpital psychiatryczny” czy „dom wariatów”, tylko użył oczywistego eufemizmu. Warszawiacy lewobrzeźni mówili Tworki, prawobrzeźni – Drewnica, Krakowiacy – Kobjeryn, Poznaniacy – Dziekanka. Wygnańcy ze Lwowa używali zwrotu: – Ta na Kulparków! – choć wiedzieli, że Kulparkowa także nie zobaczą.

Gdy dojeżdżali, Dziadek spytał:

– A czemuż to nie jedziemy w stronę Warszawy? Wiecie mnie do czubków, czy jak?

– Tymczasowo, u Dzieciątka Jezus generalny remont – wyjaśnił przytomnie kierowca.

Odwiedzała go jak mogła najczęściej, czyli co dwa tygodnie.

– Wiesz – powiedział kiedyś – to grubo nie w porządku, żebyś tak się męczyła. Myślałem nad tym wszystkim i doszedłem do wniosku, że kobieta powinna być szczęśliwa. Niedługo umrę, spotkam Antka, powiem mu, niechże coś zaradzi. Ala też pomoże, przecież to rozgarnięta dziewczyna. Na pewno coś wspólnie wymyślimy, tak przecież nie może być.

– Niech mu Ojciec powie, żeby się nie martwił, daję sobie radę.

– Oczywiście, oczywiście, znakomicie dajesz sobie radę, ale napomknę delikatnie, żeby jednak... Nie bój się, nie sprawię mu przykrości.

Następnym razem wyznał jej półgłosem, aby szlafkamraci nie słyszeli: w jego sprawie obraduje bardzo ważna komisja, chcą mu przyznać order i wysoką emeryturę. Siedzą drugi dzień i dyskutują, jeszcze nie skompletowali dokumentów. On sam ma niewielkie potrzeby, tylko na bieżące wydatki, resztę będzie jej oddawać. – Dobrze, podzielimy się po połowie. – Nie, nie po połowie. Mnie wystarczy jedna czwarta, nawet

jedna piąta. Nie spieraj się, ja wiem lepiej, mam tutaj więcej czasu na myślenie. Najwyżej jedna piąta.

Zadzwonili do Mamy do pracy z administracji szpitala, żeby *sobie zabrała* zwłoki w terminie trzydziestu sześciu godzin, bo jak nie, to pogrzeb będzie *państwowy*. W taki sposób dowiedziała się, że umarł. Na prywatny pogrzeb nie było jej stać, państwowy wyglądał tak oto.

Był ciepły wiosenny dzień. Wysiadła z ciuchci radzywińskiej. Czuła się trochę jak na wagarach: dostała dzień wolnego, choć personalna twierdziła, że jej nie przysługuje, bo ojciec niezjącego męża to w myśl przepisów nie rodzina. Ale Mama napisała podanie, umotywowowała, dyrektor własnoręcznie zaparafował: *w drodze wyjątku pójść na rękę*.

Załatwiła formalności w administracji, gdzie ją pouczono, żeby nie stawiała wódki grabarzom, bo to również pacjenci, po alkoholu dostaną małego rozumu i kto będzie odpowiadał.

Stała pod kostnicą godzinę, może dwie, nikt nic nie wiedział. Wreszcie podjechała furmanka, na niej trzech mężczyzn w drellichach. Otworzyli drzwi, wynieśli papierowy worek, taki jak po cemencie tylko trochę dłuższy, rzucili na wóz. Jeden powoził, drugi siadł obok furmana, trzeci z tyłu, plecami do kierunku jazdy. Uśmiechał się do Mamy, która kroczyła za tym karawanem, fajtał nogami, wystawił twarz do słońca i śpiewał na całe gardło przedwojenne szlagiery. *Czarna Rita szydzi ze mnie, żeś mnie rzucił tak nikczemnie. Wszyscy w krąg się ze mnie śmieją że ja ludzę się nadzieją, a ty nie wrócisz do mnie już*.

Wjechali w brzezinkę. Był tam świeży dół, a obok przyzma złotego mazowieckiego piachu. Wrzucili worek do dołu. Kilka ruchów łopata i po wszystkim.

– Pani wsiada. Lepiej marnie jechać, jak dobrze drałować – powiedział śpiewający wariat i uśmiechnął się życzliwie.

– Dziękuję, przejdę się.

Odwróciła się, poszła w przeciwną stronę, na Rembertów. Pomyślała, że taki wiosenny spacer to hojny prezent od teścia.

Po paru miesiącach Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zielonce wezwało obywatelkę Zofię Kroh do naprawienia rynny. Odpisała, że nie jest właścicielką, rynny naprawiać nie będzie. Naprawili sami i przysłali rachunek. Odesłała z wyjaśnieniem, że nie jest właścicielką i płacić nie będzie. Następnej wiosny przysłali rachunek za smołowanie dachu. Odesłała z wyjaśnieniem, że nie jest właścicielką. Po miesiącu dostała kolejne pismo, ale go nie otwierała, tylko napisała na kopercie „Adresat zmarł, przesłać nadawcy” i wrzuciła do skrzynki. Korespondencja ustała.

Maszyny do pisania

Ojciec stracił życie podczas pracy, Mamie wypłacono odszkodowanie. Jechała tramwajem do domu, ścisnęła torebkę i myślała, żeby nie zatykać tymi pie-

nięzmi dziur w domowym budzecie, bo i tak nie załka, lecz kupić coś użytecznego i trwałego. W ten sposób Ojciec bardziej będzie z nami. Wysiadła na placu Wilsona, w domu towarowym stał czarny walizkowy rheinmetall. Kupiła, żeby dzieci uczyły się pisać. Prawdopodobnie raz dwa rozniosą maszynę na strzępy, ale jeśli zdążą się przedtem nauczyć, to póki ich życia, póty pieniądze za śmierć ojca będą procentować. Zosia miała wtedy kilka miesięcy, ja cztery lata, Ania osiem.

Uczyłem się pisać na maszynie prawie równocześnie z nauką stawiania liter. Wołałem maszynę, bo nie robiła kleksów i nikt mnie nie przyrównywał do kury skrobiącej pazurem. Skutek taki, że sprawniej piszę na klawiaturze niż ręcznie, a gdy muszę coś napisać *hand made*, uroczyście list albo własnoręczny życiorys, najpierw stukam, a potem pracowicie przepisuję. Udaje mi się to za drugim, trzecim razem (pisząc ręcznie, robię zbyt dużo błędów maszynowych). *Hand made* to zwrot z polszczyzny potocznej – tak mówią góralki na targu, zachwalając skarpety i swetry cudzoziemskim turystom. Po angielsku mówi się *by hand*, gdyby to kogoś interesowało.

Najgorzej było w liceum. Moje zeszyty były przedmiotem miażdżącej krytyki, zaś pojednawcze sugestie: no to może, pani profesorko, ja wszystko ślicznie przepiszę na maszynie? – jedynie dolewały oliwy do ognia. Już lepiej było nie pokazywać zeszytu, zainkasować dwójkę i cześć pieśni. Na rozdaniu matur pani od polskiego po raz pierwszy i ostatni w życiu uśmiechnęła się do mnie mówiąc, że do twarzy mi w krawacie, a poza tym ogromnie się cieszę, że już nie usłyszy ode mnie tego idiotycznego pytania: czy można oddać wypracowanie na maszynie? Czy można przynieść maszynę na klasówkę? Teraz szanowny pan jest dojrzały, może pisać na maszynie, ile chce, nawet poematy i listy miłosne.

W szkole tępiono nie tylko maszynopisanie, ale i pióra kulkowe, później nazwane długopisami. Ale postęp nie dawał się okiełznać. I tak zostało do dziś. Tadeusz opowiadał, że jego dziesięcioletni syn dostał polecenie od nauczycielki – za karę przepisać sto razy „nie będę przezywał koleżanek”, więc siadł do komputera, napisał cztery słowa, stuknął gdzie trzeba i w sekundzie miał sto linijek. Tadeusz zrobił uwagę, że nie pisze się *koleżanek* tylko *koleżanek*, więc syn wystukał polecenie „zamień”, potem „drukuj” i robota gotowa. – Czyś ty zwariował? – przeraził się Tadeusz – przecież to bezczelność! Ona cię z tym wyrzuci! Miałeś przepisać sto razy, a nie wklepać jeden raz! – Tato, coś ty, ona się nie tropnie. – Dobra, oberwiesz to oberwiesz, twoja sprawa. Na drugi dzień syn wrócił ze szkoły rozpromieniony. – Jeszcze mnie pochwaliła, że tak ładnie przepisane, bez jednego błędu. – A widzisz, widzisz, jak chcesz to potrafisz! – powiedziała. – Tato, przecież ona nigdy w życiu nie siedziała za komputerem, mózg by się jej chyba zlasował.

Bardzo chciałem mieć swoją maszynę, zwłaszcza gdy już nie mieszkalem z Mamą. Oczywiście marki Rheinmetall, jak moja pierwsza miłość. Były lata

sześćdziesiąte, nie czterdzieste: mowy nie było, żeby ot tak wejść do sklepu i kupić. Rzecz wyglądała o wiele romantyczniej.

Młodość mojej towarzyszkii życia upłynęła w Kancelarii Sejmu PRL. Gdy do Polski dotarły pierwsze maszyny elektryczne marki Olivetti o snobistycznym, modnym kroju czcionki, mówiono na nie chyba skoropisy, mój rheinmetall, jak inne z Kancelarii Sejmu, został przeznaczony na złom. Otóż po Sejmie kręcił się, chyba z przyzwyczajenia, dziarski staruszek, przedwojenny socjalista Stanisław Szwalbe, wicemarszałek Sejmu Ustawodawczego w 1947 roku, który kładł podwaliny Polski Ludowej, a gdy już je położył, we wrześniu 1948 roku wyleciał ze stanowiska przewodniczącego Rady Naczelnej PPS. Niebawem partie się zwały, powstała PZPR, tow. Bierut poradził Szwalbem: „wy sobie lepiej dajcie spokój z polityką”, więc tow. Szwalbe został działaczem społecznym, między innymi założył Towarzystwo imienia Marii Konopnickiej (już po Październiku). Był to człowiek starej daty – nie znosił, gdy coś się marnowało. Postarał się więc, żeby maszyny, zupełnie sprawne, ale już spisane do kasacji, przekazano Towarzystwu. Pracował tam przyjaciel Mamy, zadzwonił, pobiegłem na Stare Miasto, obejrzałem kilkadziesiąt maszyn, wybrałem najmniej rozklekotaną, zapłaciłem... To znaczy oficjalnie nie płaciłem, byłoby to przestępstwem; maszynę dostałem za darmo i nielegalnie, bo komisja Towarzystwa też ją przeznaczyła do kasacji – ale akurat tego samego dnia, wiedziony szlachetnym porywem serca, z własnej a nieprzymuszonej woli wpłaciłem dwa i pół tysiąca złotych do kasy Towarzystwa im. Marii Konopnickiej jako członek wspierający. Wybiegłem ze słodkim ciężarem pod pachą, zaniósłem na Marszałkowską do prywatnego zakładu, gdzie maszyna została poddana generalnemu remontowi za drugie dwa i pół tysiąca. Spisana na straty przez dwie komisje, dwukrotnie zmartwychwstała, służyła mi wiernie, a gdy po latach przesiadłem się na komputer, ofiarowałem ją Polakowi z Wileńszczyzny, co zresztą także nie było całkowicie legalne, gdyż ówczesne władze litewskie niemiłe widziały na swym terytorium maszyny z polską czcionką, że tak to delikatnie ujmę.

Nie wszystkie maszyny miały tyle szczęścia. Dunia z Muzeum Tatrzańkiego latami pisała na starym walcowym mercedesie, wypożyczonym z Liceum Kenara. Ktoregoś dnia zadzwonili, żeby im w te pędy oddać maszynę, bo ją muszą komisyjnie skasować, takie mają zalecenie pokontrolne. Dunia chciała płacić, pytała, co zrobią jak, nie odda (wytoczą sprawę sądową i naślą komornika z milicją), proponowała handel wymienny, rozplakała się, mówiła, że maszynę kocha, zrosła się z nią, chce na niej skończyć książkę, a jeśli nie mogą sprzedać ani dać, to niech przekażą do muzeum jako zabytek. Nic z tego proszę pani, porządek musi być! Zebrała się komisja, ustawili maszynę na pniaku, pan Ziutek chwycił siedmiokilowy młot na długim trzonku i walił, a komisja sprawdza-

ła, czy aby nie da się czegoś wymontować i użyć ponownie. Tego dnia skasowano kilkanaście maszyn, stare aparaty fotograficzne i coś jeszcze. Kadry decydują o wszystkim.

Jeszcze była Efka. Tak mówili na nią mechanicy, uśmiechając się jak do starej znajomej. – O rany, Efka, gdzie pan ją podłapał? Świetnie się trzyma jak na swój wiek! Efka – bo powstała w FK, Fabryce Karabinów na Woli. Produkcję rozpoczęto wiosną, a może latem trzydziestego dziewiątego, na licencji Hermes Baby, zdążono wyprodukować kilkaset sztuk. Moja Efka miała zbiity numer fabryczny (he, he, pewnie służyła w AK – powiedział znajomy, oglądając ją czule na wszystkie strony – poręczna, niezawodna, cicha, wszelkie zalety konspiratorki. Wiele bym wtedy za nią dał). Po wojnie dwadzieścia parę lat leżała nieużywana w krakowskim mieszkaniu, jako lokata kapitału pewnych państwa. Kupiłem ją z ogłoszenia. Cóż to była za radość. Zaniósłem do mechanika. – Efka! – zawołał – wspaniała sztuka, zrobię panu poza kolejką. Nazwisko, imię, adres, numer dowodu osobistego. – Antoni Kroh, Muzeum Tatrzańskie. – Jak to, mieszka pan w muzeum? – Nie. – Więc proszę podać adres zamieszkania. – Nie mam mieszkania. – To gdzie pan mieszka? – Różnie. – A gdzie pan jest zameldowany? – W Warszawie. – A w Zakopanem gdzie? – Nigdzie. – To co ja podam na milicji? – zafrasował się mechanik, człek prostoduszny. – Przecież mogę panu niezłego gnoju narobić. Wyznał, że jest zobowiązany podawać milicji wzory czcionek wszystkich naprawianych przez siebie maszyn wraz z danymi właścicieli. – Niezameldowany w Zakopanem, a do tego kupił sobie maszynę. Oni się, nie daj Boże, zaczną nad tym zastanawiać. I będą pióra. – Dziękuję... Przyjdę kiedy indziej.

Zawiozłem Efkę do Warszawy, nie pytano mnie o nic, wszystko zrobiono jak należy. Kadry decydują o wszystkim.

Efka była wspaniała, ale jak na moje potrzeby za delikatna – przyjmowała najwyżej dwie przebitki. Cieszę się, że poszła w dobre ręce. Żyje się jej spokojnie, obecna właścicielka łagodnie się z nią obchodzi – czasem list, rachunek, piśmisko do administracji.

Najśmieszniej było w stanie wojennym. Pracowałem w Muzeum Okręgowym w Nowym Sączu, Oddział w Podegrodziu. Codziennie jeździłem więc do Podegrodzia. Potrzebna mi tam była maszyna, muzeum nie dało służbowej, bo nie miało, poprosiłem o samochód, żeby przewieźli moją prywatną (miałem wtedy wielkiego biurowego underwooda). Pan Marian, kierowca, aż się za głowę złapał. Panie Antoś, czyś pan chory? Wieź prywatną maszynę państwowym samochodem? Jak ja im to wytłumaczę na sztrafifie? Toż to przecie gorsze jak karabin maszynowy! Miał rację – na granicy miasta, przy zabytkowej figurze Matki Boskiej z Dzieciątkiem, była wojskowa rogatka, wszystkich legitymowali, zaglądali do tobołków, bagażników. Ale jakieś sto metrów przed rogat-

ką odbijała od szosy zwykła polna droga. Przeniósł się tam prawie cały ruch kołowy. Z rogatki było doskonale widać, jak wiejski gościniec, używany przez miejscowych z częstotliwością jeden traktor na godzinę, nagle zaroił się od aut. Ale stróżów porządku to nie obchodziło – rozkazano im pilnować szosy, to pilnowali, a po sąsiedzku mogłyby jeździć choćby amerykańskie czołgi. Baliśmy się obaj z panem Marianem – nie kary, bo przecież nie popełnialiśmy żadnego przestępstwa, tylko przerażającej perspektywy wyjaśniania, co właściwie robimy. Okazało się, że niepotrzebnie. Droga polna nie była obstawiona, mogliśmy tamtędy spokojnie przewieźć Bujaka z Frasyniukiem, a cóż dopiero głupiego underwooda.

Czarna walizkowa maszyna marki Rheinmetall, kupiona ponad pięćdziesiąt lat temu, jest w idealnym stanie. Mama, siostry i ja pisaliśmy na niej dla zarobku i dla własnych potrzeb. Nie umiem określić, ile kartek przez nią się przewinęło – dwieście, trzysta tysięcy? Kilka grubych książek pana Wańkowicza, które przepisywałem z siostrami (pięć przebitek, pilnować kolorów bibułki!), rozkazy komendy hufca Mokotów Zachód (na blachach powielaczowych, trzeba było mocno walić w klawisze, żeby się odcisnęło), kilkanaście tomów czeskiej i słowackiej prozy w moim przekładzie (poprawianie, poprawianie, każda strona po sześć i więcej razy, trzysustronicowa książka to dla maszyny około dwóch tysięcy stron), audycje Mamy, artykuły, listy, co najmniej pięć prac magisterskich, notatki, chałtury, chałtury, chałtury, przepisywania grzecznościowe, bo ja wiem co jeszcze. Jeszcze rozmaite próby wytrzymałościowe, dokonywane przez troje dzieci, nie licząc PT koleżanek i kolegów. Podróże. Otóż po półwieczu takiej służby maszyna wygląda bez porównania lepiej niż polskie łuczniczki po rocznej pracy na państwowym. Nie wiem, czy firma Rheinmetall jeszcze istnieje, ale gdyby chciała ładnie się znaleźć, niechże mi zapłaci za ten hymn pochwalny. Wyśpiewuję go z pełnym przekonaniem – w odróżnieniu od aktorek, które gładzą w telewizji o zaletach detergentów i biorą za to niezły szmal.

Niedawno musiałem coś na niej napisać. Okazało się, że już nie umiem. Zapominam, że trzeba przesunąć wózek albo że nie ma co szukać klawiszy *control* czy *alt*. Ale dźwięk maszyny taki sam jak w dzieciństwie. Taki sam. I to jest ta sama maszyna. W znakomitym stanie, gotowa do pracy. Coś niesamowitego.

Piesek Puk

Nosi angielskie imię, bo przybył z Londynu. Tuż po wojnie, w pierwszej paczce od Cioci Tereni.

Nie było mu łatwo. Gdy wyskoczył z pudła i rzucił mi się w ramiona, miał puszystą, pomarańczową sierść. Niebawem zupełnie wyłysiał, nie ze swojej winy. Bez szemrania realizował moje wizje, na przykład kiedyś

skakał oknem z trzeciego piętra, postradał wtedy oko. Krzyknąłem, wrócił. Nosiłem go, trzymając za ucho, to znów za ogon, Babcia przyszywała – aby prędzej, takim kolorem włóczki, jaki miała pod ręką, rzecz wymagała natychmiastowej interwencji. Ślady widać do dziś. Pilnował mnie dniem i nocą w dziecięcym szpitalu na Woli, wykaraskaliśmy się jakoś. Wkrótce zacząłem się go wstydzić. Czekał na dnie szafy przywalony tekstyliami, złego słowa nie mruknął.

Przeprowadzał się ze mną niezliczoną ilość razy, z anielską cierpliwością. Teraz stoi za moimi plecami na regale, rozgląda się czujnie po okolicy. Przed paroma laty niepostrzeżenie minęły nasze pierwsze i zarazem ostatnie złote годы.

Ciocia Terenia przez całą wojnę mieszkała z nami na Sadybie. Sadyba była to elegancka dzielnica willowa, jej budowę zakończono tuż przed wojną; nazwę miała symboliczną, gdyż w dawnej polszczyźnie sadyba znaczyło warownia, obóz wojskowy, strażnica na kresach. W latach siedemdziesiątych pola między Sadybą a Dolnym Mokotowem zabudowano blokami, oficjalnie mówi się na to Ursynów, potocznie Usrynów, może niezbyt wykwintnie, ale stosownie, bo przecież prawdziwy Ursynów to klasycystyczny pałac i park, ongiś własność Juliana Ursyna Niemcewicza, dziś Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, położony kilkanaście kilometrów na południe. Jeden Ursynów, trochę dalej drugi Ursynów. Jeśli tak, to może uchwalmy, żeby odtąd każde polskie miasto nazywało się Radom.

Ciocia Terenia oficjalnie była uczennicą kursów buchalterii, ale przede wszystkim tkwiła po uszy w konspiracji. Poszła do powstania, słuch po niej zagał, nie było wiadomo, czy żyje. Wypędzono nas z Sadyby, wędrowaliśmy polami, gdzie potem zbudowano osiedle rządowe, zwane Zatoką Czerwonych Świń, dalej na południe polami, gdzie jakiś biznesmen chce wznieść buławę Sobieskiego, to znaczy ogromną wieżę w kształcie buławy z obrotową restauracją na wierzchołku, nie chciałbym zgadywać, jak warszawiaczy to nazwą, i dalej polami, na których ma stanąć Świątynia Opatrzności Bożej, ale nie wiadomo, czy stanie, bo kolejne zwycięskie projekty są coraz bardziej nie do przyjęcia – aż dotarliśmy do wsi Wolica. Ostatecznie, po rozmaitych perypetiach osiedliśmy w Grójcu. W pierwszych dniach stycznia czterdziestego piątego roku ktoś zdobył gazetę „Poszukiwanie się Wzajemne”, wydanie nadzwyczajne znanego szmatławca „Goniec Krakowski”, który w czasie powstania publikował całostronicowe fotoreportaże o urokach lata, obozach Hitlerjugend w Beskidzie Żywieckim i wspaniałych zbiorach jabłek. Dodatek miał cztery kolumny po sześć szpalt nonparelem, nazwiska w przypadkowej kolejności, a wśród nich: *Teresa Lechnicka, Gefangenennummer 106238, obóz jeniecki Mählberg/Elbe, szuka matki i sióstr*. Babcia długo płakała. Parę dni później do Grójca weszli bolszewicy, korespondencja z Rzeszą stała się niemożliwa. Pana Mikołaja Pajdowskiego, starego przyjaciela jeszcze z czasów

roboty niepodległościowej sprzed pierwszej wojny, którzy w Grójcu organizował pomoc warszawiakom, byliby jak nic rozwalili, bo znaleźli u niego w biurku znaczki pocztowe Generalnej Guberni z Hitlerem, ale Pan Mikołaj miał schowany na czarnej godzinie baniak spirytusu, przeżył, a my przy okazji, dziś by się powiedziało, że przeżyliśmy na krzywy ryj; potem długo pracował w lubelskim oddziale PTTK, prowadził wycieczki po Roztoczu. Jesienią 1963 roku przemawiał w Poznaniu nad trumną Dziadka Felicjana, a gdy skończył, pan Leon, facecjonista w dobrym, szlagońskim stylu, uściśnił mu dłoń i rzekł z powagą: Mikołaju, przeszedłeś sam siebie! Pan Pajdowski ogromnie był dumny z tej pochwały, chwalił się Mamie kilka razy.

W czterdziestym piątym roku w Grójcu Babcia gawędziła z żołnierzami radzieckimi, podobnie jak w Sebryszczach w roku dwudziestym i trzydziestym dziewiątym. Świetnie to robiła – uprzemie, z dystansem. Czuli przed nią respekt; absolwentka carskiego gimnazjum znacznie lepiej czytała i pisała po rosyjsku niż wielu z nich. Dyktowali jej listy. Wspominała sierżanta, który postawił na podłodze skrzynkę buraczanej marmolady, zabraną z magazynu spółdzielni Społem, z kieszeni bluzy wyjął list i poprosił, żeby przeczytać. – Moj ulubimyj Misza! Codziennie myślę o tobie, Kocham cię, rozpowiadam dzieciom, że u nich ojciec bohater, są z ciebie dumne. Jestem ci wierna, Misza, czekam, aż wrócisz, będę kochać tylko ciebie aż do mogiły. Ogromnie mi ciebie brak, ale wiem, że musisz walczyć za naszą radziecką Ojczyznę, za nasze dzieci, nasz dom. Dobij jak najprędzej faszystowską gadzinę w jej legowisku i wracaj. U nas tego roku sroga zima, śniegu napadało. O nas się nie martw. Powrócisz i będziemy szczęśliwi. Twoja małżonka Natasza. Babcia czytała, a żołnierz co chwilę parskał śmiechem, brał się pod boki i machał rękami, jakby się oganiał od osy. Nie wytrzymała. – Z czego się śmiejecie, co tu śmiesznego? Spojrzał, nie rozumiejąc. – Z czego? Ano z tego, że tak ładnie pisze, a przecie wiadomo, bzdury, czepuchu bołtajet, na pewno już kogoś ma, nie było mnie w domu cztery lata, co ona myśli, że ja durny, życia nie znam? Nie wierzę w ani jedno słowo, no, może o śniegu. Pewnie uczycielka jej to pismo pisała, ot. Dopił herbatę, podziękował, Babcia przetrzała stół, przygotowała blok listowy, pióro, kałamarz. – Droga Nataszo, moja najukochańsza małżonko! U mnie wszystko w porządku, zdrow jestem, nie narzekam, tylko bardzo mi ciebie brak. Tęsknię za tobą, często mi się śnisz. Wojna nie wieczorynka, śmierć nie wybiera, ale wierzę, że wrócę do ciebie i będziemy szczęśliwi. Kolegów mam dobrych, major dla nas słowno ojciec. Zima tu łagodniejsza jak w naszych stronach, Polacy mówią, że sroga, ale gdzie tam sroga, u nas bywają sroższe. Kocham cię i wierzę, że kiedyś do ciebie powrócę. Dzieci ucałuj i dobrze chowaj. Mitia już pewnie wielki chłopak i niedługo popadnie w pioniry. Więcej nie mam co pisać. Twój na wieki sierżant Mikołaj Prochorow.

Jeszcze przez cały rok po wojnie mieszkaliśmy w Grójcu, nim wróciliśmy do Warszawy. Jak Ojciec załatwił mieszkanie na Bielanach, nie wiem. Skąd wiedzieliśmy, że Ciocia Terenia osiadła w Anglii, jak zdobyliśmy jej adres, a ona nasz – nie mam już kogo spytać. Ale pamiętam pierwszą paczkę z Londynu, choć miałem wtedy cztery, pięć lat. Może zresztą ta pierwsza złała mi się z następnymi, a tylko mi się zdaje, że ją pamiętam.

Ciekawe, jak przyszły historyk Polski Ludowej oszacuje, ile pieniędzy wpompowali do kraju emigranci, jak opisze rolę zagranicznych paczek w naszej kulturze materialnej i duchowej, szczególnie w pierwszym powojennym dziesięcioleciu, choć później oczywiście też. Trudno sobie wyobrazić, aby ów temat został całkowicie pominięty; już prędzej można wątpić w powstanie uczciwej i wyczerpującej monografii cywilizacji PRL.

Ale, na wszelki wypadek, może warto podsunąć pewną daleką analogię.

Tak zwany kult *cargo* narodził się pod koniec XIX wieku wśród pierwotnych ludów Oceanii, zwłaszcza Nowej Gwinei, ogarnął setki tysięcy wyznawców i trwa do dziś. Tubylcy uznali, że przybycie białych eksploratorów i misjonarzy to powrót przodków, widm o białej skórze. Okręty, później samoloty, załadowane towarami (*cargo*) tak wspaniałymi, że mogły pochodzić tylko z zaświatów, wysyłane były – jakże inaczej – przez duchy zmarłych Melanezyjczyków bądź Papuasów dla ich żyjących potomków, słusznie więc należały się miejscowym. Przybysze, z biegiem czasu uznani za ludzi (gdy wyszło na jaw, że są śmiertelni), wprowadzali chrześcijaństwo, a zarazem nieustannie odbierali transporty, więc tubylcy doszli do wniosku, że nowa religia jest, jakby to powiedzieć, sakralną technologią pomnażania dóbr materialnych. Następowaly masowe nawrócenia, po których przyszedł ogromny zawód, skoro wyszło na jaw, że przyjęcie chrztu i uczestnictwo w niedzielnej mszy świętej nie zapewnia natychmiastowego dobrobytu. Czarni starali się ze wszystkich sił, na różne sposoby, przeniknąć Wielką Tajemnicę, lecz biali wciąż byli górą, towary przychodziły wyłącznie do nich. Widocznie zataili przed czarnymi te najskuteczniejsze zaklęcia. Kiedy podczas drugiej wojny światowej nad Oceanią przerzucono most powietrzny z Australii i niebo zaroilo się od samolotów, kult *cargo* nasilił się; na niedostępnych wyżynach Papui-Nowej Gwinei tubylcy budowali z płótna i gałęzi podobne konstrukcje, aby zwabić nimi skrzydlate ptaki pradziadów wypełnione ładunkiem. Wyrąbывali, wypalali lądowiska w puszczy, stawiali wieże kontrolne, rozpinali kable telefoniczne z lian zakończonych słuchawkami z puszek po konserwach. A skoro to nie skutkowało, znaleźli w sobie dość determinacji, aby pójść dalej. Dla jednych kult *cargo* stał się zaczynem ruchów narodowowyzwoleńczych, inni popadli w mistycyzm – cierpliwie czekają, aż zdobędą nieśmiertelność, uwolnią się od chorób i obowiązku pracy. Biali staną się czarnymi, czarni białymi, przodkowie

zmartwychwstaną i powrócą na ziemię. Jak widać, kult *cargo* jest spójny, logiczny, konsekwentny, oparty na doświadczeniu jednostkowym i zbiorowym, mocno osadzony w tradycji, a zarazem otwarty na rzeczywistość, zdolny do wchłaniania nowych elementów.

Od kiedy pamiętam, wiedziałem – podobnie jak moi rówieśnicy – że na Zachodzie każdy może sobie kupić na co tylko ma ochotę, pieniędzy tam jak liści na drzewach, a w sklepach jest wszystko, na przykład pióra kulkowe, tak się nazywają, bo zakończone kulkami zamiast stałówek, nie trzeba ich maczać w kałamarzu, dużo lepsze nawet od naszych wiecznych. A więc dobrobyt zależy wyłącznie od miejsca pobytu. Kto mieszka w Anglii, Francji, Ameryce, jest bogaty, ponieważ tam mieszka. Uczyliśmy się w szkole o kapitalistycznym marnotrawstwie i wyzysku, ale każdy wiedział, że to bujda, żalosna, jak inne szkolne bujdy. Za to realny, choć egzotyczny, a może nawet pochodzący z zaświatów, był zapach paczek.

Kiedyś ni z tego, ni z owego dostaliśmy spadochron. Cały pokój wypełnił się białą tkaniną, która nie dała się z powrotem wcisnąć do pudła. – O jejku, jak fajnie. Czy to prawdziwy? Kiedy będziemy skakać? Z dachu? Z balkonu? Ja pierwszy! – Syneczku, proszę cię, spójrz. On jest w kawalkach, nie nadaje się do skakania. Niech ci broń Boże coś do głowy nie strzeli. – To po co Ciocia go przysłała? – Żeby z niego poszyć bluzki i koszule. – Eeee... W czterdziestym siódmym, czterdziestym ósmym roku co druga elegancka warszawianka paradowała w jedwabiu z wojennego spadochronu. Niektóre starzały się w tych kreacjach. Jeszcze za Gierka można było w barze mlecznym spotkać starszuskę w poźółklej, charakterystycznej bluzce.

Pomarańcze... Babcia pytała: dzieci kochane, czy ewentualnie miałybyście ochotę...? Albo jeszcze wytworniej: a może reflektujecie...? Siadaliśmy w skupieniu, zaczynało się misterium obierania i sprawiedliwego dzielenia, pod czujną kontrolą trzech par oczu. Dwie pomarańcze na sześć talerzyków – zostawić dla Mamy, zostawić dla Gosposi, nakryć, żeby nie wyszło do wieczora. Potem się jadło. Powolutku, po troszeczku. Skórki też były bardzo cenne. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem pomarańcze w sklepie, ot tak po prostu czekające na klientów, na początku lat sześćdziesiątych w Pradze; замуrowało mnie ze zdziwienia, że coś takiego w socjalizmie jest możliwe.

Każda pomarańcz (Babcia mówiła „ta pomarańcz”; uważając formę „pomarańcza” za prostacką) była owinięta w białą gofrowaną bibułkę z wytworkim nadrukiem. Bibułki miały wielką wartość kolekcjonerską i były wyznacznikiem prestiżu, więc Babcia wręczała je nam z namaszczeniem, starannie pilnując kolejności, by kogoś nie zranić. Nie tylko my, również dorośli mieli słabość do eleganckich opakowań: Pierwszego dnia Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie w 1955 roku delegaci z krajów ciemionych przypinali w dowód przyjaźni przedstawicielom krajów obozu pokoju

złote krążki ze staniolu, ku obopólnej radości, póki ktoś się nie tropnął, że to nie odznaki, lecz egzotyczne prezerwatywy. Ania, córka Cioci Tereni, zapamiętała, że goście z Kraju, przyjeżdżający do nich do Londynu, gdy po 1956 roku stało się to wreszcie możliwe, nie pozwalali wyrzucać opakowań, bo takie piękne. Wyjeżdżając, rozstawali się z nimi z żalem. Za Gierka w niejednym polskim domu stały na meblościance butelki po peweksowskich alkoholach, świadcząc o dostatku i dobrym guście gospodarzy. Gdy – mniej więcej za pierwszej Solidarności – pojawiło się piwo w puszkach, u znajomego księdza w salonie podziwiałem starannie rozstawione rzędy ekskluzywnych, pustych puszek, na telewizorze, na szafie, napisami do przodu.

Kakao z paczki, jeśli było przeznaczone do konsumpcji w gronie rodzinnym, a nie na sprzedaż, jedliśmy z talerzyka, wymieszane z cukrem. Każdy oddech, każde nie w porę wypowiedziane słowo albo, co gorsza, kichnięcie, mogło wzniecić kakaowy pył i złorzeczenia współbiedniaków.

Kawa od Cioci Tereni nie była napojem, ani nawet przysmakiem, tylko walutą. Mama sprzedawała ją w pracy.

Rolę waluty pełniły także zagraniczne żyłetki. Krajowe służyły głównie do temperowania ołówków i twórczości satyrycznej.

Chcę się golić, więc się mydlę,
ale nożyk nie chce.

To nie nożyk, ale bydlę,
nie tnie, tylko łechce.

Więc skowyczę: oby, oby
wyginęły brakoroby!

Pani Muszka przez wiele lat dostawała z Londynu, regularnie raz w miesiącu, wyłącznie pończochy, tak zwane nylony. Od narzeczonego, z którym zaręczyła się latem trzydziestego dziewiątego roku. Tuż po wojnie nylony były tylko z paczek, ale w takiej ilości, że aż weszły do mowy potocznej. *Albo cnota, albo nylony* – powiadano w różnych sytuacjach, niekoniecznie damsko-męskich. W połowie lat pięćdziesiątych pojawiły się pończochomajtki, wymyślono dla nich nazwę rajstopy, zręczne słowo, natychmiast się przyjęło, choć przecie wynalazek, jeśli wolno się tak wyrazić, nie miał na myśli stóp. Pierwszy milion rajstop na ulicach polskich miast też oczywiście pochodził z paczek, dopiero po dwóch, trzech latach i nie wiem ilu naradach na najwyższym szczeblu pojawiły się krajowe. Te, niczym podziemna rzeka w Dolinie Kościeliskiej, wpadały do magazynów Galluksu, znikwały, by wychynąć na bazarze Różyckiego – w cenie uwzględniającej prawa podaży i popytu. Gazety piętnowały tę karygodną spekulację; aby jej przeciwdziałać, rozprawiano rajstopy przez związki zawodowe w zakładach pracy. Trzyosobowe komisje, listy na tablicy ogłoszeń, by uniknąć podejrzeń. Damskie rajstopy pod społeczną kontrolą – donosiło dumnie „Życie Warszawy”. W latach siedemdziesiątych po parze raj-

stop dawano kobietom pracującym z okazji Dnia Kobiet. Nie oznacza to bynajmniej, że rajstopy zachodnie przestały cieszyć się zainteresowaniem.

Polska odmiana kultu *cargo* czeka na swego dziejopisa. Listy prośbne do królów, prezydentów, zachodnich gwiazd ekranu, prezesów koncernów były w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zjawiskiem masowym. Panie Ford, tyle pan tych samochodów produkujesz, przyslij mi pan jednego, co panu zależy. Generale Ajzenhafer, melduję się i proszę o nowe dobre radio. Szanowny Panie Premierze, ja tak kocham Francję, przysłałby mi się nowy garnitur, dla pana to przecież drobnostka. W pierwszych słowach mojego listu zapodaję, że będę się modlić za wszystkich pracowników firmy Fiat, ale przy okazji chciałbym nieśmiało napomknąć... Adresaci niszczyli te listy, choćby dlatego, że były głównie po polsku, ale jakąś ich część przekazywano organizacjom humanitarnym, a stamtąd, w pękających worach, na Mokotowską przy placu Zbawiciela, do centrali Polskiego Czerwonego Krzyża. Na którymś piętrze tego budynku była redakcja pisma „Twoje Dziecko”, tam jakiś czas pracowała Mama; przeciskała się między tymi worami, zwalonymi na klatce schodowej.

Tadek, kolega z ławy szkolnej, pochwalił mi się kiedyś, że dostanie skuter. Zdobył adres Szweda, który chce korespondować z rówieśnikami, więc napisze do niego; obieca, że co dwa tygodnie będzie słać listy, jeśli tamten przyśle skuter, dla takiego Szweda to przecież drobnostka. Na przeszkodzie stał problem techniczny – Szwed chciał korespondować po angielsku albo po niemiecku. Tadek poprosił panią profesorkę, żeby przetłumaczyła list. Widziałem z daleka, jak coś do niej mówił, wyciągnął kartkę, gestykulował, po chwili zrobił się czerwony, zabrał kartkę. Podszedł do mnie. Długo milczał, aż wreszcie wykszusił: ale głupia krowa, co jej zależało...

Za Gomułki świąteczne łakocie były głównie z paczek. Pamiętam, jak na początku lat sześćdziesiątych „Życie Warszawy” napisało o przedświątecznym zaopatrzeniu sklepów, że jest dość mąki, kaszy, słoniny oraz „innych smakołyków”. Pan Henryk, człowiek skądinąd kulturalny, gołębiego serca i abnegat w sprawach materialnych, dostał ataku złości, czytając o tych smakołykach, wykrzykiwał straszne rzeczy w miejscu publicznym, mianowicie w empiku na rogu Alej i Nowego Świata. – Niech pan sobie pójdzie, bo jeszcze ktoś zauważy, że pan nie pijany i będą kłopoty – poradziła bufetowa, a pan Henryk przytaczał wielokrotnie ten aforyzm jako przykład nieugiętego polskiego ducha.

Jednym z detonatorów robotniczego gniewu na Wybrzeżu 1970 roku była okoliczność, że drastyczną podwyżkę cen żywności ogłoszono niespodziewanie tuż przed Bożym Narodzeniem, 12 grudnia. Nagle się okazało, że ludzi nie stać na przygotowanie świąt. Prawdopodobnie była to bezmyślność, nie celowa sztykana – lecz ludzie poczuli, jakby im napluto w wigilijny talerz. Gdyby podwyżkę zapowiedziano choćby

miesiąc wcześniej – mówiono – krewni z zagranicy załataliby dziurę paczkami. A więc jeszcze dwadzieścia pięć lat po wojnie paczki z Zachodu wpływały na bieg wydarzeń w Polsce, ponieważ stanowiły istotną pozycję w domowych budżetach.

Za Gierka weszła w modę inna konwencja: co roku na początku grudnia można było przeczytać w gazecie i usłyszeć w dzienniku telewizyjnym, że płyną statki z cytrusami „na nasze świąteczne stoły”, już minęły duńskie cieśniny, już są na Bałtyku, zdążą na czas, dla wszystkich wystarczy, tyle a tyle ton.

O zagranicznych lekarstwach niewiele mam do powiedzenia. Pan doktor zapisywał, wysyłało się receptę Cioci Tereni, przychodziło lekarstwo i tyle. Może w aptece wysyłkowej Grabowskiego, London, Jakaś-tam road, przechowują jeszcze nasz warszawski, dawno nieaktualny adres. Kawał historii Polski, apteka Grabowskiego w Londynie.

Odbiór paczek na poczcie zorganizowany był tak, żeby się ludziom w głowach nie przewracało. Wpierw należało opłacić cło. Następnie pokwitować, że wszystko jest w porządku i adresat nie wnosi zastrzeżeń. Dopiero potem można było zajrzeć do środka. Zawartość zgadzała się ze spisem albo nie. Niekiedy zgadzała się w sposób szczególny, na przykład pozycja „pomarańcze” oznaczała skórki i bibułki, pozycja „sweter” celofanowe opakowanie. Kiedyś deliberowaliśmy nad nadgryzioną czekoladą, ile z niej odkroić. Reklamacje na pocztę nie miały sensu – *co się pani czepia, ja tego pani nie zjadłam, skąd mam wiedzieć, czy sama pani nie schowała* albo *paczki dostają, a jeszcze im źle*.

Ale najsilniejsze moje wspomnienie, związane z zagranicznymi paczkami, było innego rodzaju. Warszawa, poczta główna, środkowy Gomułka. Hol, zwykle pustawy, tym razem nabity ludźmi. Kolejka do jednego okienka straszliwie powykręcana, z kilkaset osób. Przeważały biednie ubrane, starszawe kobiety. Niektóre siedziały na składanych rybackich krzeselkach. Każda trzymała otwarte pudełko, osobno papier pakowy i sznurek. Zaczepiłem pierwszą z brzegu i co usłyszałem: władze radzieckie oznajmiły, że od pierwszego przyszłego miesiąca przestaną wpuszczać paczki żywnościowe, więc starsze panie chciały skorzystać z okazji, może ostatniej, by wysłać na Wschód woreczek kaszy, mąki, torbę cukru, parę główek czosnku, słoik topionej słoniny z cebulką. Wczoraj pogotowie zabrało celnickę, zasłabła z przepracowania.

A mnie dopiero wtedy przyszło do głowy, że Ciocia Terenia zaczynała po wojnie w Londynie z dziesięcioma palcami, w jednej bluzie, bez języka, bez zawodu. Pewnie dostała z wojska jakąś odprawę na opędzenie najpotrzebniejszych wydatków. I chyba za te pieniądze kupiła kawę, herbatę, daktyle, rodzyнки, pieska Puka. Wtedy w Anglii żywność też była na kartki, jak u nas.